Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 99 (1673) Warszawa, wtorek, 12 grudnia 1967 r. Cena 50 gr

I TY WEŹ UDZIAŁ...

... w PLEBISCYCIE ogłoszonym przez Główną Kwaterę ZHP i „Świat Młodych" dotyczącym ODZNAK STOPNI HARCERSKICH.

Każdy uczestnik Plebiscytu weźmie udział w losowaniu następujących nagród:

◆ RADIOODBIORNIKA TURYSTYCZNEGO ◆ BUDZIKÓW ◆ PLECAKÓW ◆ TOREB SPORTOWYCH ◆ DŁUGOPISÓW

Szczegóły na str. 3

Tajemnica STU SKARBÓW

10 tysięcy kilometrów poza mną, jestem już w Ułan - Bator. Ale moje marzenia jeszcze w całości się nie spełniły — do Karakorum, stolicy mongolskiego imperium z XIII wieku, pozostało ponad 400 km. Ten ostatni etap przebywam mikrobusem, co z postojami zajmuje dwie doby. Towarzyszy mi młody naukowiec uniwersytetu w Ułan-Bator, Sengedorż (dosłownie, w tybetańskim języku znaczy: „Kamień lwa"). Dwie doby, to aż nazbyt dużo, żeby uzupełnić moje dotychczasowe wiadomości.

O chłopcu, który bał się psów

W stepach mongolskich, przez które jedziemy — rozpoczął Sengedorż — w końcu XII wieku zamieszkiwało wiele skłóconych ze sobą plemion koczowniczych.

W rodzinie Jesugeja, przywódcy szczepowego, jednego z niewielkich szczepów mongolskich wschodniej Mongolii, w dolinie rzeki Ononu — w roku świni — urodził się syn. Nazwano go Temudżyn.

Kiedy chłopiec ukończył 9 lat, ojciec pojechał ożenić go. Po drodze spotkali Seczena, który miał 10-letnią córkę, Borte. Ten, dowiedział się o celu ich podróży i zaprosił do siebie.

Dzieci się spodobały. Na drugi dzień rano chłopca wyswatano.

Ciąg dalszy str. 4 — 5

W każdej z czterech ścian otaczających świątynię Erdeni-Dzu, wybudowanej na gruzach Karakorum, mieści się po 25 takich piramidowych wieżyczek, zwanych suburganami i po jednej bramie wejściowej wiodącej na dziedziniec świątyni. Fot.: Stefan Kojło

KERVI SUOMA! WITAJ FINLANDIO!

● Finowie żartują, że u nich, na Północy, jest „biała" zima, która trwa 9 miesięcy i zima „zielona", trwająca trzy miesiące.

Ja miałam szczęście trafić na tę „zieloną" zimę. Odwiedziłam Finlandię jesienią, kiedy to liście na drzewach przybrały różne kolory, po południu jeszcze świeciło słońce, a rankami sypał śnieg. Nie było mrozów, jedynie wiatr hulał po ulicy. Nie o klimacie tego kraju chcę wam dziś jednak napisać, a o tamtejszych ludziach, ich kulturze i zwyczajach. O wszystkim, co jest inne niż u nas, co stanowi egzotykę i piękno tego kraju. (O KRAJU 60.000 JEZIOR — CZYTAJ NA STRONIE 2-GIEJ).

OSTRY DYŻUR

„ŚWIATA MŁODYCH"

List Redaktora Dyżurnego

DRODZY PRZYJACIELE!

Cieszę się, że otrzymałem od Was aż tyle listów. Nie na wszystkie otrzymacie odpowiedź w naszym piśmie, ale na wszystkie chciałbym odpisać osobiście.

Bardzo dziękuję za poważne listy Krysi Wecławek z Bytomia, Zygfrydowi Łuczakowi ze Zgorzelca, Heli Bielewicz z Morzeszczyna, Heńkowi Monkiewiczowi z Elbląga, Annie Olejnik z Dąbrowy Górniczej. Będziemy pisali na poruszone przez Was tematy.

UWAGA! „Kasienna" ze Szczecina, „Zrozpaczona" z Gdańska i Romuald T. z Kaweczyna, powiat buski! Proszę o podanie adresów. Odpowiem listownie. Nie wstydźcie się podawać adresów zwrotnych. Są one tajemnicą redakcyjną, a brak ich utrudnia nam i niepotrzebnie przedłuża nawiązanie kontaktu z Wami w ważnych dla Was sprawach.

REDAKTOR DYŻURNY

PRZYJAŹŃ JAK Z POWIEŚCI

CHCIAŁABYM napisać o mojej serdecznej koleżance. Otóż mam koleżankę z którą znam się od dziecięcych lat, razem chodziłyśmy do szkoły podst. Obecnie koleżanka moja chodzi już do ostatniej klasy ZSZ, ja natomiast ukończyłam tylko szkołę podstawową i dalej już nie mogłam i nie mogę się uczyć z powodu mojej ciężkiej, długotrwałej choroby. Stale jeżdżę po szpitalach, tak że mało kiedy jestem w domu. Mimo mojej choroby koleżanka moja bardzo często mnie odwiedza, chociaż ma dużo nauki. Otacza mnie serdecznością i okazuje mi wiele serca, co dla każdego chorego jest bardzo ważne.

Gdy się załamuję, pociesza mnie jak może, podtrzymuje na duchu i dodaje mi wiele otuchy. Przy niej nie odczuwam swojej choroby. W koleżance tej odnalazłam prawdziwego, serdecznego przyjaciela i chciałabym, aby takich przyjaciół było jak najwięcej i żeby uczniowie nie opuszczali swoich koleżanek i kolegów nawet w czasie długotrwałych chorób, lecz okazali ich w takich chwilach, jeszcze większą przyjaźnią i okazywali im dużo serca. (rj)

RENATA

TERMITY — ARCHITEKCI

Najwyższy poziom w architekturze i inżynierii osiągnęły termity australijskie. Budowane przez nie kopce sięgają 6 m wysokości i 3,5 m średnicy u podstaw. Setki takich „budowli", porozmieszczanych na przestrzeni nektara ziemi, tworzą jakby wielką wieś.

Kopiec — termitjer, składa się z mocnej twardej zewnętrznej ściany o wytrzymałości betonu. Wewnątrz znajdują się kwatery króla i królowej, „pokoje dziecięce" oraz liczne korytarze i chodniki dla osobników znoszących pokarm.

NAWET DZIECKO obudzone ze snu wyrecytuje bezbłędnie, że... Finlandia to kraj tysięcy jezior i lasów.

Trzeba jednak to potoczne zdanie nieco uzupełnić. Otóż nie tysiąca, a 60 tysięcy jezior, a lasy i tundry podbiegunowe zajmują aż 30 proc. powierzchni całego kraju.

Finlandia położona jest na tej samej szerokości geograficznej, co skuta wiecznymi lodami Grenlandia, nic więc dziwnego, że klimat kraju jest dość surowy.

„Saunio", znaczy rumianek

GOŚCINNI gospodarze fińscy, chcąc ulżnić obcego przybysza, raczą go przede wszystkim trzema rzeczami: sauną, przysmakiem z ryby zwanym „kalakukko" i chórem ludowym. Miałam okazję doświadczyć wszystkich tych trzech atrakcji. Zaczynam od sauny.

Sauna, czyli łaźnia, znana jest w Finlandii od wieków. Towarzyszy ona Finom niemal od urodzenia aż do zgonu. Narodowy pisarz fiński w swym eposie ludowym „Kalevala" pisał, że do ogrzania pieca w saunie należy używać drobnych kawałków wonnego drewna, aby „para była smaczniejsza". Stąd też pewnie wywodzi się samo słowo sauna, co oznacza po fińsku dymek (sauhu) lub rumianek (saunio). Ale wróćmy do łaźni. Prowadzą mnie do niej trzy fińskie dziewczęta: Liza, Sijrke i Marija. Wchodzimy do rozbieralni, małej salki ze szczelnymi drzwiami i drewnianymi ławami służącymi do wypoczynku po kąpieli. Dziewczęta szybko zostawiają ubrania na ławkach i biorąc w jedną rękę ogromny ręcznik, w drugą plastikowy kubełek, przechodzą do następnej salki. Idę w ślad za nimi. Tu już ogarnia mnie przyjemne ciepło. Stajemy pod prysznicami i namydlamy całe ciało, trzemy je mocno włosianymi rękawicami.

Nagle któraś otworzyła ciężkie, okute drzwi wiodące do trzeciego pomieszczenia. Buchnęło gorąco. Zobaczyłam ogromny piec, a na jego palenisku rozpalone do czerwoności kamienie. Wepchnięta przez dziewczęta znalazłam się nagle w samym środku piekła. Zatrzasnęły się za nami drzwi. Nie mogłam oddychać. Łapiąc powietrze, jak ryba wyjęta z wody, byłam pewna, że za chwilę stopię się jak skwarka na patelni. Liza krzyknęła do mnie:

— Uważaj, nie przysuwaj się do paleniska — i wylała całe wiadro zimnej wody na rozżarzone kamienie. Biała jak mleko para zaległa pomieszczenie. Po chwili drugi, trzeci kubełek wody... Para zgęstniała. Byłam cała mokra od potu, ale miałam już coraz mniejsze kłopoty z oddychaniem. Już się przyzwyczaiłam do gorąca, a termometr wskazywał niebagatelnie dużo, bo aż + 70 st.

Nagle Marija chlusnęła na mnie zimną wodą z kubełka. Krzyknęłam zaskoczona, ale po chwili sama powtórzyłam podobny zabieg. Finki też bez przerwy polewały się chłodną wodą. Teraz mogłam już zupełnie dobrze znosić upał w saunie. Nie zdobyłam się tylko (o czym dziś piszę ze skruchą) na kąpiel w jeziorze. Moje towarzyszki po odpowiednim nagrzaniu się i wychłostaniu ciała mokrymi, brzozowymi witkami, wybiegły całkiem gołe do pobliskiego jeziora i popływały po nim przez chwilę. Nawoływały mnie ze śmiechem, ale ja patrzyłam na nie ze zgrozą. Po powrocie do sauny znów zażywały gorącej, parowej kąpieli. Do jeziora biegały trzykrotnie!!! Nie dostały nawet kataru! Zresztą muszę wam powiedzieć, że właśnie sauna to wspaniałe lekarstwo na zaziębienie. Znika po niej chrypka, katar, łamanie w kościach. Człowiek czuje się jak nowonarodzony. Nawet uczeni zainteresowali się leczniczymi własnościami sauny i polecają ją jako idealny środek na świeże samopoczucie.

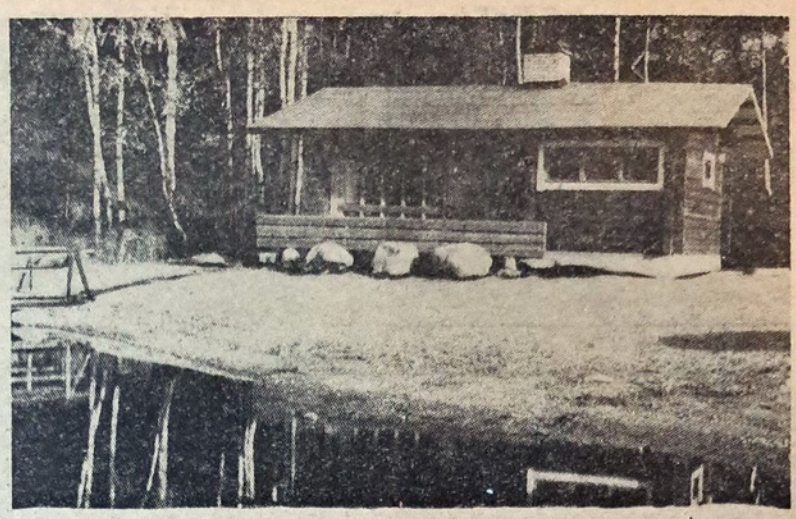

Tak wygląda sauna z zewnątrz. Mały drewniany domek, obowiązkowo położony w pobliżu jeziora.

Zaproszenie na „Kalakukko"

NIE JEST TO nawet narodowa potrawa Finów, ale tak rozpowszechniona, że gościowi zawsze się ją proponuje. Ja dostąpiłam zaszczytu skosztowania „kalakukko" w domu rodziny fińskiej, mieszkającej w nowoczesnej dzielnicy Helsinek, Tapioli. Uczestniczyłam nawet w ceremonii przyrządzania „kalakukko".

Najpierw oczyszcza się skrupulatnie drobniutkie rybki wielkości szprotek, potem się je moczy w mleku z rodzynkami, wreszcie zapieka w cieście razem z plasterkami słoniny. Taki pieróg spożywa się na zimno i popija zimnym kwaśnym mlekiem. Nie powiem, nawet dość smakowało, choć bardziej zachwycałam się słynnymi pierożkami karelskimi, zwanymi „karjalanpiraka" i gorącymi rogalikami — „sarvet".

Po poczęstunku pan domu, Yrjo opowiedział mi, że na wigilię podaje się na gorąco, w białym sosie, z obfitym dodatkiem pieprzu — pikantną potrawę z dorsza, zwaną „lipeakala". Na zapusty zaś piecze się okrągłe bułeczki nadziewane masą migdałową — „laskiaispulla". Bułeczki te spożywa się z gorącym, słodkim mlekiem.

Pod koniec mego pobytu w Finlandii miałam jeszcze raz możność zakosztować fińskich przysmaków. Otrzymałam mianowicie zaproszenie do fińskiej restauracji, zwanej „Kestikartano", gdzie panują starodawne obyczaje i pieczołowicie hołduje się dawnym kulinarnym tradycjom.

W środku dużej izby znajduje się długi stół — „tupa" zastawiony najrozmaitszymi przysmakami: Kelnerki czuwające nad gośćmi, ubrane w ludowe stroje, spełniają raczej dekoracyjną rolę, bowiem przybysze obsługują się sami. Nabierają sobie na talerzyki to, na co mają ochotę, a więc: zimne i gorące dania rybne i mięsne, sałatki, jarzyny, desery. Wszystko sporządzone wg starych fińskich przepisów.

Z pełnymi talerzami goście wędrują do małych stoliczków i oddają się uczcie. Muzyka na starych ludowych instrumentach dopełnia uroczego nastroju.

Właściwie nie powinnam się do tego przyznawać, ale tak długo próbowałam najrozmaitszych przysmaków, że wreszcie straciłam kompletnie smak i pod koniec przyjęcia nie odróżniałam już kwaśnej sałatki od słodkiego kremu. No i oczywiście następnego dnia byłam chora z obżarstwa.

„Runy" najmodniejsze wśród młodzieży

O FIŃSKICH CHÓRACH LUDOWYCH można by pisać wiele. Ja ograniczę się tylko do stwierdzenia, że tak pięknie śpiewanych ludowych ballad, czyli „runy", nie słyszałam w żadnym kraju. Być może dlatego, że młodzież chętnie śpiewa ludowe pieśni i bardziej interesuje się nimi niż melodiami w stylu „ye, ye, ye".

Gdy pewnego dnia spotkaliśmy się w Młodzieżowym Klubie z grupą dziewcząt i chłopców fińskich, byliśmy zdumieni ogromną ilością pieśni, które oni znali. I przyznaję z zażenowaniem, że nasza polska młodzież wypadła w porównaniu z gospodarzami bardzo ubogo, bo poza „Szła dziewczeczka" i „Kukułeczka kuka" (i to tylko po jednej zwrotce) nic innego zaśpiewać nie potrafiliśmy.

Nasi fińscy przyjaciele pytali nas zdumieni.

— Czy u was nie ma ludowych pieśni? Czy też może ich nie lubicie?

A. WIELGOŁAWSKA

KERVI SUOMA

Witaj Finlandio!

Z „GRZYBKAMI" PRZEZ KANAŁ LA MANCHE

● W mglisty, listopadowy dzień nasz stary znajomy — pan Aleksander Woźniak, przepłynął z Dover do Deal, czyli dziesięć mil angielskich. Przypominacie sobie zapewne pana Woźniaka, tego, który wraz z dwoma synami — bliźniakami, przepłynął na „nartojakach" 1000 km na tysiąclecie Polski Ludowej.

Przepłynięcie dziesięciu mil to tylko mały trening, bowiem 47-letni inżynier, wynalazca „nartojaków", będących skrzyżowaniem nart i kajaka, a także wynalazca „grzybków pływackich", postanowił przepłynąć przy pomocy swych „grzybków" kanał la Manche i to teraz, w grudniu.

„Grzybki" są zrobione z polistyrenu i zaopatrzone w uchwyty, które zakłada się na przeguby rąk.

Aleksander Woźniak postanowił przebyć trasę z Dover do Calais na „nartojakach", zaś

drogę powrotną przepłynąć przy pomocy „grzybków". W Dover oczekiwać go będą obydwaj synowie: Filip i Rysio.

Pan Woźniak twierdzi, że jego grzybki są doskonałą pomocą dla pływaków, zwłaszcza dla młodzieży i ludzi starszych. Jego synowie wypróbowali je wielokrotnie, towarzysząc kajakami wraz z grupą harcerzy panu Woźniakowi w przebyciu 1000 km na wodach Polski.

H. K.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NRU 91

Poziomo: Gopło, orzeł, retor, laska, Dunaj, wiano, pałka, nitka, rad, sterta, arenda, bar, ekran, malwa, armia, elekt, Nisko, kotek, trasa, agora.

Pionowo: galop, poseł, Orawa, strata, Ordon, zenit, Łajka, Artek, karpa, Izera, kedyw, rab, dar, armata, efekt, rzepa, natka, manka, lasso, anoda.

Nagrody książkowe wylosowali: **Małgorzata Binder** — Elbląg; **Marek Chwiałkowski** — Łódź; **Ewa Jędrusik** — Czeladź; **Bożena Mikulska** — Gołdap; **Michał Piotrowski** — Leszno Wlkp.; **Elżbieta Rutkowska** — Zawadzkie; **Jarosław Stańczyk** — Gdańsk; **Bogusława Szlachetka** — Kościan; **Mirosław Szolno** — Olsztyn; **Maria Wąchocka** — Skrzyńsko.

Plebiscyt Głównej Kwatery ZHP i „Świata Młodych”

Przeczytaj!

— Zastanów się!

— Wypełnij kupon!

Do tej pory odznaki stopni harcerskich nosi się na prawym rękawie bluzy mundurowej, 5 cm poniżej wszycia naramiennika, a odznaką jest plakietka filcowa. Jej kolor: dla ochotników — niebieski; dla tropicieli — zielony; dla odkrywców — czerwony. Na plakietce — żółty płomień. Pod plakietką nosi się czarny pasek o wymiarach: 43 x 13 mm, na którym przypina się białe, pięcioramienne gwiazdki o rozpiętości ramion 5 mm. Symbolizują one zdobyte przez zastęp sprawności zespołowe.

Przypominamy, że wyglądają one w ten sposób, jak to przedstawia pierwszy rysunek.

Czy takie odznaki Wam się podobają?

Jest propozycja, żeby harcerze nosili odznaki stopni na naramiennikach munduru. (Uwaga: obecnie, zgodnie z obowiązującym regulaminem, na naramiennnikach nie nosi się już numerów drużyn).

Według nowego projektu trzy pierwsze stopnie harcerskie (ochotnik, tropiciel, odkrywca) oznaczane by były przy pomocy pasków (jednego, dwóch, trzech) noszonych w poprzek naramiennika, na kolorowej podkładce, tak, jak to przedstawia drugi rysunek.

Taki sposób oznaczania każdy harcerz może sam wykonać (paski można zrobić ze zwykłej tasiemki — białej lub srebrnej), jest bardziej zrozumiały dla „cywilów” i chyba bardziej atrakcyjny dla samych harcerzy.

Pytanie pierwsze: — **Czy Wam ten projekt się podoba?**

Pytanie drugie: — **Jakiego koloru ma być podkładka? — dowolnego? — koloru chusty harcerskiej** (barwy drużyny)? — **dotychczasowej barwy plakietki stopni** (tzn. niebieskiej, zielonej lub czerwonej — w zależności od stopnia harcerskiego)?

KUPON PLEBISCYTOWY

GŁOSUJĘ ZA:

1. DOTYCHCZASOWYMI ODZNAKAMI STOPNI HARCERSKICH	TAK	NIE
2. NOWYMI ODZNAKAMI NOSZONYMI NA NARAMIENNIKACH	TAK	NIE
3. DOWOLNYM KOLOREM PODKŁADKI NA NARAMIENNIKU	TAK	NIE
4. KOLOREM PODKŁADKI ZGODNYM Z BARWAMI DRUŻYNY	TAK	NIE
5. KOLOREM DOTYCHCZASOWYCH BARW PLAKIETKI STOPNI	TAK	NIE

Ten kupon wytnij i nalep na karcie pocztowej, przekreślając uprzednio te odpowiedzi, z którymi się nie zgadzasz.

Kartkę zaadresuj: Redakcja „Świata Młodych” — Warszawa 10, ul. Mokotowska 24. Dopisz nasze hasło: **Plebiscyt.**

JESTES WSPÓŁGOSPODARZEM SWOJEGO ZWIĄZKU. Każdy harcerz powinien wziąć udział w tym Plebiscycie. Masz jednak prawo również zgłosić swój własny projekt. Wówczas musisz:

1. przesłać wzór zaprojektowanej przez siebie odznaki,

2. opisać sposób jej noszenia,

Wśród autorów oryginalnych pomysłów zostaną rozlosowane DODATKOWE nagrody:

I. pudło farb

II. duży komplet kredek

III. długopis.

Termin nadsyłania odpowiedzi plebiscytowych mija 20 GRUDNIA br. (liczy się data stempla pocztowego).

Druhu zastępowy!

Możesz nasz Plebiscyt omówić na najbliższej zbiórce zastępu, traktując to jako dodatkowe zadanie dla swych harcerzy. Można nawet w tym celu zwołać alarmową zbiórkę zastępu, na której przedyskutujecie swoje propozycje, a na zakończenie wypełnijcie karty plebiscytowe i ewentualnie przedstawcie własne projekty.

Druhu drużynowy!

Zainteresuj rady drużyny naszym Plebiscytem.

Czekamy na Wasze głosy!

Przypominamy: tak obecnie wygląda plakietka z odznaką stopni harcerskich...

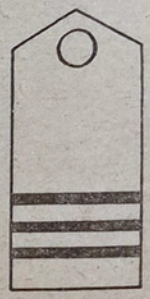

...a taki jest projekt nowej. Wg. niego ochotnicy będą nosić na naramienniku jeden pasek, tropiciel — dwa paski, a odkrywca — trzy.

KTÓRA Z ODZNAK PODOBA CI SIĘ BARDZIEJ?

Polska wieś w Paranie

WIOSKA DON PEDRO, w stanie Parana, jest prawdziwym rezerwatem polskości w Brazylii. Mimo, że powstała ona przed 87 laty i nikt z jej obecnych mieszkańców nie urodził się w Polsce, mówi się tam wyłącznie po polsku. Nawet nauczycielki w pierwszych klasach szkoły brazylijskiej, w tej wsi, muszą mówić po polsku. W przeciwnym razie dziecko na zadane po portugalsku pytanie odpowiada: „Co ty godosz?”.

Wieś nosi nazwę na cześć cesarza Pedro II, który ziemie te ofiarował Polakom w roku 1880.

Przykry błąd

WIEDZIELIŚMY o tym, zaraz po ukazaniu się numeru z dnia 28.XI. br., że chochlik drukarski spowodował błąd. A potem przyszły listy ze sprostowaniami. Oto jeden z nich:

„W artykule pt. „Bohaterski czyn greckich dzieci” wkradł się błąd. Narodowy bohater grecki Manolis Glezos ściągnął hitlerowski sztandar z Akropolu w dniu 31 maja 1941, a nie w roku 1945, jak błędnie wydrukowano. Dlatego jako dzieci narodowości greckiej prosimy o sprostowanie”.

Teresa Dzinwara
An. Eftimiw,
A. Dzinwara
Chojnów

Sprostowaliśmy! Tak rzeczywiście było. Bardzo przepraszamy.

Redakcja

WIELKA PRZYGODA W MAŁYM POKOIKU

Często czytamy w gazetach: wielki sukces polskich architektów — pierwszą nagrodę w międzynarodowym konkursie odniósł nasz zespół; polski projekt najlepszy!

Od 1959 roku nasi architekci brali udział w ponad 30 poważnych, międzynarodowych konkursach. Zdobyli ponad 40 nagród i wyróżnień. Projektowaliśmy dla Konga i dla Iraku, gmach Teatru Narodowego w Nowym Sadzie i dzielnicę mieszkaniową w Moskwie, pomnik Zwycięstwa na Kubie, budynki Uniwersyteckie w Dublinie, rozbudowę centrum w San Francisko i ostatnio — osiedle mieszkaniowe w Finlandii.

— Jak wygląda praca w zespole? Jak to się dzieje, że polscy architekci często nie będąc w kraju, dla którego projektują, odnoszą sukcesy? Jak, na czym polega ich praca?

Z tymi pytaniami zwróciliśmy się do pana inż. Zdzisława Hryniaka.

Ciąg dalszy str. 4 — 5

To jest fotografia gotowego już modelu wyspy Tronchetto. Tak właśnie zaprojektowali jej zabudowę nasi architekci i ten projekt znalazł uznanie w oczach członków sądu konkursowego.

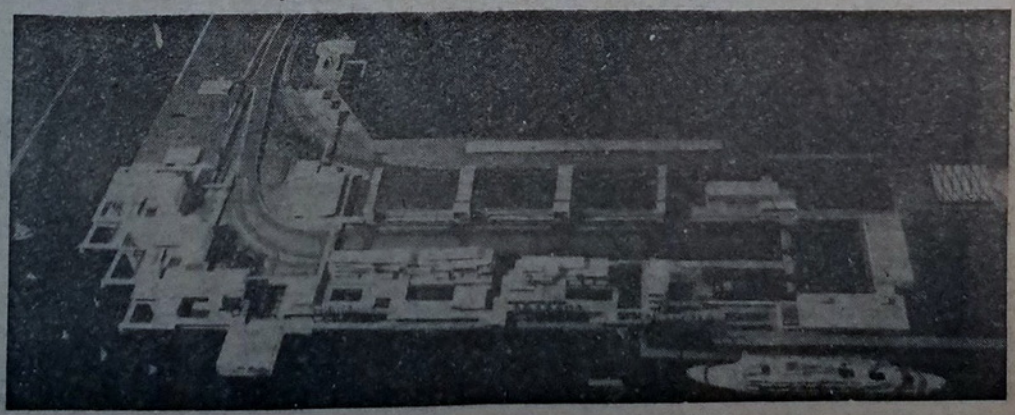

Tajemnica STU SKARBÓW

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

— Strasznie boi się psów mój mały. Strzeż mego chłopca przed psami — mówiąc to Jesugej podarował swego konia i odjechał.

Po drodze zatrzymał się posilić w jurcie Tatarów. Ci mieli z nim stare porachunki: otruli go. Żona, czterech synów i córka zostali sami. Natychmiast opuścili ich podporządkowani członkowie rodu. Musieli teraz sami przeciwstawiać się wszystkim trudnościom, a samotnej rodzinie w stepie było niełatwo.

Temudżyn dorastał. Wrogowie obawiali się zemsty, napadli go, zanim ten zdążył zorganizować swoją drużynę. Bracia bronili się dzielnie, ale w końcu Temudżyn dostał się do niewoli. Związany, uciekł z niewoli chowając się w powozie z owczą wełną. Było gorąco, ledwo się nie udusił, ale wrócił do rodzinnej jurty. I znowu nieszczęście — przejezdni nieznajomi zabrali osiem pasących się koni. Na pozostałym, dziewiątym, puścili się w pogoń. Spotkał nieznajomego rówieśnika, poprosił o pomoc. Obaj odbili konie.

Narodziny Mongolskiego Imperium

TO BYŁO PIERWSZE ZWYCIĘSTWO TEMUDŻYNA. Później przyszły następne, przeplatane kolejnymi porażkami. Zawsze wydostawał się z tarapatów. Dzięki swojej wytrzymałości, przebiegłości i zawziętości. Nigdy nie był zbyt odważny, ale szybko wyrósł na znacznego wodza. Zawierał układy z mocniejszymi, zdradzał ich, gdy byli niepotrzebni. Był hojny dla poddanych, surowo karał nieposłusznych. W ciągu kolejnych lat walki, wykorzystując jednych przeciw drugim, podbił plemiona Tatarów, Merkitów, Najmanów i Kiereitów i stał się jedynym pretendentem do tronu wielkiego chana.

Spełniło się to w roku 1206. Nad rzeką Onon zebrał się kurułtaj, czyli zjazd arystokracji plemiennej i Temudżyn został uznany władcą całej Mongolii. Chan przyjął imię Czyngis i wywiesił sztandar z dziewięcioma białymi ogonami. Niezwłocznie przystąpił do zorganizowania administracji państwowej i jednolitej armii, opartej na systemie dziesiętnym. Dziesięć dziesiątek stanowiło setnię wojowników, które łączyły się w tysiące. Największym oddziałem był tumen liczący dziesięć tysięcy wojowników, a na jego czele stał brat, syn lub inny spokrewniony wielkiego chana. Tym się kończy etap zjednoczenia mongolskich plemion w jedno państwo, a zaczyna stuletni okres podbojów otaczającego Mongołów świata.

W czasie pochodu, w 1227 roku, Czyngis-chan polując, spadł z konia i w wyniku odniesionych potłuczeń zmarł. Żył lat 72, ponoć był znacznego wzrostu, mocnej budowy i miał kocie oczy.

Czyngis-chan w początkach panowania władał trzynastoma tysiącami jurt, a w końcu jego życia podlegało mu 720 narodów mówiących różnymi językami i wyznających różne religie. Pozostawił po sobie synom 129 tysięcy wojska i nakaz podboju całego świata. Jeszcze za życia, podbite tereny podzielił między 4 synów, a następcą wyznaczył trzeciego z nich, Ugedeja. Synowie i wnuki wykonując nakaz Czyngis-chana kontynuowali podboje. W 1253 r. został całkowicie podbity Iran, najstarszy syn Dżuczi dał początek „Złotej Ordnie", a wnuk Batu podbił ziemie ruskie, a w latach 1241—1242 jego oddziały znalazły się w Polsce, na Węgrzech i na Morawach. Wnuk Kubilaj w roku 1260 zasiadł na tronie chińskim i dał początek nowej dynastii Chin.

Świątynia Erdeni-Dzu

PODRÓŻ NASZA DOBIEGA CELU. Przed nami szeroka dolina rzeki Orchon opierająca się o południowe stoki gór Changaj. Bogate, rozległe pastwiska, obfitość wody i najbardziej łagod-

Czyngis-chan

Na tym historycznym rysunku z XVIII w. widzimy pałac chanów mongolskich w Karakorum podczas oficjalnej audiencji.

WIELKA PRZYGODA

Ciąg dalszy ze str. 3

pracownika naukowego Politechniki Warszawskiej, laureata wielu nagród krajowych i zagranicznych.

44444 zwycięża

ODWIEDZAM GO W MIESZKANIU, które nawet teraz, choć wyjątkowo podłoga nie jest założona planami i szkicami nowych budynków, sprawia niezwykłe wrażenie. Poza tapczanem i rozkładanym stołem — są tu rzeczy zwykle spotykane w muzeach: stare rzeźby i piękne obrazy, nie używane już dziś przedmioty...

Proszę inżyniera Hryniaka, by opowiedział o swojej pracy w zespole projektującym wyspę Tronchetto.

— Zebrała się nas piątka. Czterech architektów i specjalista od komunikacji.

Organizator takiego konkursu urbanistycznego rozsyła uczestnikom program i plan terenu. Z programu wiedzieliśmy, że na wyspie ma powstać zespół hoteli i garaży. Z planu znaliśmy kształt wyspy i jej wielkość (22 ha).

Zacząłem od chodzenia po muzeach i bibliotekach. Starałem się obejrzeć wszystkie dostępne w kraju obrazy i fotografie. Przeczytałem wiele książek o Wenecji. Musiałem dobrze poznać jej historię i tradycje, jej bogatą architekturę. Bo chociaż wiedzieliśmy, że będziemy projektować nowoczesne budynki, musiały one być wkomponowane w dotychczasową zabudowę. Wyspa Tronchetto położona jest u wlotu do miasta i stanowi jakby wizytówkę Wenecji.

Potem zbieraliśmy się i długo sprzeczali. Każdy z nas zgłaszał swoje projekty. Jedni je atakowali, inni bronili. Kiedy już byliśmy zgodni co do tego, jak wyobrażamy sobie projekt zabudowy, przystąpiliśmy do szkiców. Dopiero na samym końcu wykonywaliśmy dokładne rysunki, a na ich podstawie

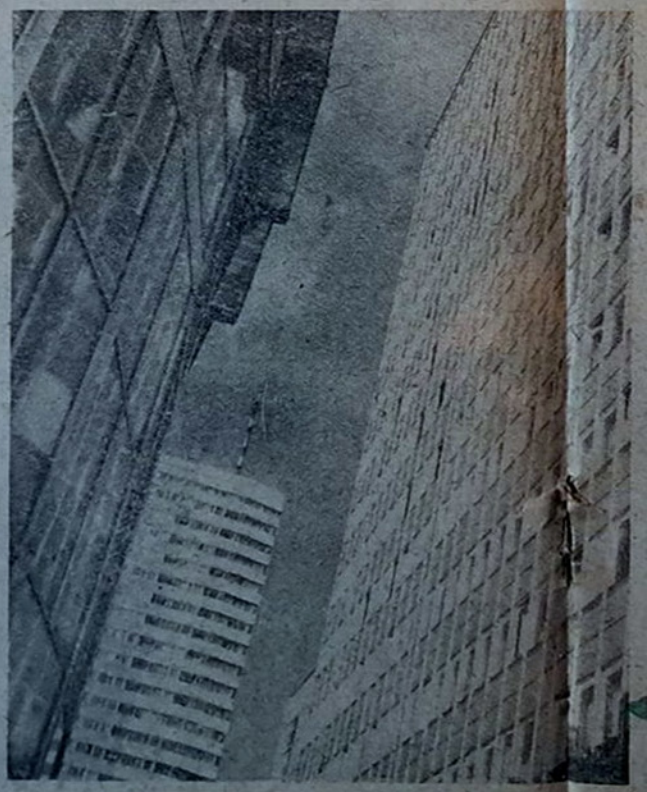

ARCHITEKT, URBANISTA, to ludzie, którzy muszą być obdarzeni fantazją, uwzględnić nie tylko potrzeby obecne, ale również przewidywać to, co będzie w przyszłości. Projektowanie nowych domów, a tym bardziej całych dzielnic staje się więc sprawą coraz bardziej skomplikowaną. Dlatego tak często teraz organizuje się różne konkursy. Przed paru laty zarząd miasta Wenecji ogłosił międzynarodowy konkurs na zabudowę sztucznej wyspy Tronchetto, zbudowanej na jednej z lagun. W konkursie brał również udział zespół polski, w skład którego wchodził inżynier Hryniak.

ny mikroklimat od dawna przyciągały tu stepowe narody Azji Centralnej. Na lewym brzegu Orchonu widoczne są do dziś ruiny Czarnego Grodu — stolicy chanatu ujgórskiego. Po całej dolinie rozsypane są kurhany zazdrośnie chroniące tajemnic wielkich władców.

Tu na prawym brzegu Orchonu powstało pierwsze miasto mongolskie Karakorum. Założył je jeszcze Czyngis-chan, zostawiał tu na letnie postoje swoje żony. Miasto budowali brani do niewoli rzemieślnicy poczynając od 1220 r. Na rozkaz syna Czyngis-chana, Ugedeja, w 1234 r. miasto otoczone zostało murem. W rok później chan Ugedej przeniósł tu stolicę mongolskiego imperium. W 18 lat później Karakorum odwiedził mnich francuski Wilhelm de Rubruck i dokładnie je opisał.

Ogrodzone ścianami miasto miało 4 wjazdowe bramy. Przy wschodniej bramie sprzedawano pszenicę i inne zboża, przy zachodniej — barany i kozy, przy południowej — bydło, a przy północnej — konie. W handlowej części miasta zamieszkiwali kupcy, w innej rzemieślnicy, głównie Chińczycy. Dalej lśniły bielą pałace należące do sekretarzy i innych dworzan.

Najokazalszym był pałac samego chana otaczający z trzech stron prostokątny dziedziniec. U wejścia na dziedziniec stało srebrne drzewo roboty francuskiego złotnika Wilhelma.

— Wewnątrz drzewa zainstalowane były 4 rury zakończone w formie otwartej paszczy żmij. Z tych czeluści na dany sygnał wylewały się 4 rodzaje napojów — pisze Rubruck.

W Karakorum było 12 świątyń różnych narodów i religii, 2 meczety i nawet jedna świątynia chrześcijańska. Przewijało się tu mnóstwo poselstw z całego świata. Rubruck spotkał tu posła Kalifa bagdackiego, posłów sułtana hinduskiego i tureckiego. Sam był nieoficjalnym posłem króla francuskiego Ludwika IX. Nic dziwnego, przecież była to stolica najpotężniejszego państwa XIII wieku. Szybko jednak upadła. W 1260 roku chan Kubilaj przeniósł stolicę do Pekinu, a w kilka lat później Karakorum zostało zniszczone w bratobójczych walkach o tron. Na jego gruzach i z pozostałych po nim kamieni i innych materiałów budowlanych w 1586 r. wybudowano słynną świątynię buddyjsko-lamaicką Erdeni-Dzu.

Z daleka bieli się ogromny kwadrat murowanych ścian stanowiących łańcuch suburganów — piramid — po 25 sztuk w każdej. Przejeżdżamy szeroki Orchon i zbliżamy się do świątyni. Pod samymi jej ścianami wypasają się jak dawniej stada kóz, owiec i koni. Przez bramę wchodzimy na środkowy dziedziniec. Wzrok nasz przyciąga piękna architektura 3 głównych świątyń, nagrobków i suburganów. Obok kamienne rzeźby w postaci zwierząt, bogów i płyt, na których wykuto staromongolskim pismem pionowym epizody dziejów stepowych władców.

Przewodnik oprowadza po świątyni. Na ścianach duże malowidła historyczne, obrazy chanów i bogów. Niektóre bóstwa połykają ludzi. Pod ścianami ogromne piszczały i bębny. Duża ilość bogów ze szczerego złota, a kilkanaście posągów Buddy odlewanych przed II wojną światową przez polskich złotników.

To, co tu zobaczyłem, da się wypowiedzieć dwoma słowami: zgroza i przepych, może dlatego świątynię nazwano Erdeni-Dzu — co w tłumaczeniu znaczy Sto Skarbów.

Historia i dzień dzisiejszy

CHAN UGEDEJ przed wszystkimi 4 bramami wejściowymi do Karakorum kazał wykuć olbrzymich rozmiarów kamienne żółwie — symbol długowieczności. Imperium mongolskie nie przetrwało jednak długo. Upadło na skutek walk wewnętrznych i najazdów Mandżurów. Przez następne VII wieków Mongołowie niezmiennie zajmowali się pasterstwem koczując wraz ze swymi stadami. Ostry kontynentalny klimat, epidemie i przesądy religijne hamowały naturalny rozwój ludności. Początek rozwoju dała dopiero rewolucja ludowa ukoronowana ogłoszeniem Mongolii w roku 1924 Republiką. W dzisiejszej Mongolii obok już wyrastają miasta ze szkołami, fabrykami i murowanymi domami. Dawny kraj ciemnoty i zabobonu należy dziś do światowej czołówki pod względem procentu uczącej się ludności.

STEFAN KOJŁO
Zdjęcia autora

Rys. M. Kościelniak

Nie! To zdjęcie wcale nie jest wykonane ani w Nowym Jorku, ani w Londynie. To fragment nowego centrum Warszawy, miasta prawie od nowa zbudowanego. Wg. szacunkowych danych, całość nakładów na budowę miasta wyniosła w latach 1945 — 1965 około 100 miliardów złotych. Na najbliższe dwudziestolecie planuje się również około 100 miliardów zł na rozbudowę i budowę naszej stolicy, na jej unowocześnienie i podniesienie ogólnego poziomu życia.

szczegółowy model. Na tym modelu nie tylko zaznaczyliśmy każdy budynek hotelowy, każdy garaż, ale również zaprojektowaliśmy port, w którym stały malutkie stateczki, no i oczywiście dokładne rozwiązanie komunikacyjne.

Wreszcie po paru miesiącach pracy rysunki, szczegółowe ich opisy, no i sam model zapakowaliśmy, a do koperty zaznaczonej godłem, pięć czwórek, włożyliśmy kartę z naszymi nazwiskami. I to wszystko pojechało do Wenecji.

— Kiedy pan dowiedział się o wyniku konkursu?

— O! To cała historia. Opiekowałem się właśnie architektem ze Szwecji. Pokazywałem mu akurat Starówkę w Lublinie, kiedy podszedł do nas kierowca miejscowej taksówki.

— Czy pan inżynier Hryniak? — zapytał.

— Tak — odpowiedziałem zaskoczony.

— Bo ja właśnie słyszałem przez radio komunikat — powiedział nieznajomy — że kierowca takiego to a takiego samochodu wzywany jest do natychmiastowego powrotu na Politechnikę.

— Zdenerwowałem się. Natychmiast pojechaliśmy do rozgłośni lubelskiej po szczegółowe wiadomości. Dopiero z rozmowy telefonicznej z Warszawą dowiedziałem się, że właśnie opublikowano wyniki konkursu i nasz zespół zdobył jedną z pierwszych nagród.

Projekt dla młodzieży

NIE ZAWSZE JEDNAKOWO wygląda praca zespołu — opowiada inż. Hryniak. — Np. rok temu zostaliśmy zaproszeni do Liberca, w Czechosłowacji. Było nas znów pięciu, z tym, że w skład zespołu tym razem wchodziło dwóch architektów, socjolog, plastyk i geograf.

Dopiero tam, na miejscu, po zapoznaniu się z warunkami, przystąpiliśmy do roboty.

Rywalizowało ze sobą aż osiem zespołów z różnych państw. Zadanie było bardzo ciekawe: należało zaprojektować centrum wykorzystania wolnego czasu dla młodzieży.

Na samym początku, po dyskusji z socjologiem, powstał program, potem postanowiliśmy tak zaprojektować centrum, by wszystkie urządzenia przeznaczone do rozrywki same zachęcały do wykorzystania, by wręcz zapraszały młodego chłopca czy dziewczynę, by nie mógł on przejść mimo nich obojętnie.

— W ostatnim tygodniu, przyjechałam do Liberca — mówi pani Elżbieta, żona architekta. — Przydałam się nawet, bo pomagałam przy wykonaniu modeli. Już podjechała ciężarówka, a model nie był jeszcze gotowy. W ostatniej chwili robiłam z tworzywa sztucznego drzewa i krzaki.

— I znów sukces — wtrącam — bo, jak pamiętam, zespół polski otrzymał jedną z pierwszych nagród.

Czasami zaczyna się od gruszki...

...śmieje się pani Elżbieta i opowiada, jak to w tym samym pokoju, gdzie teraz siedzimy, trwała wielogodzinna dyskusja nad nowym projektem konkursowym.

— Było już bardzo późno, a żadna ze zgłoszonych koncepcji nikomu nie odpowiadała. Był nawet taki moment, że panowie już chcieli zrezygnować z projektu, zniechęceni bezowocną robotą. I wtedy przyniosłam gruszki. Rozkrajałam je i poczęstowałam gości. I właśnie kształt rozkrajanej gruszki podsunął im pomysł zupełnie nowego rozwiązania architektonicznego. Przystąpiono do szkiców...

— Ech! Nie warto o tym mówić — przerywa pan Hryniak.

— Tak, oni nie lubią, kiedy się mówi o nie skończonej pracy.

— Jeszcze jedno pytanie, panie inżynierze. Jak wiem, brał pan udział w bardzo różnych konkursach. Oprócz wspomnianych już, jeszcze jako student, projektował pan wieś spółdzielczą, a później dzielnicę mieszkaniową w Lublinie, osiedle mieszkaniowe w Tunisie, fabrykę eternitu, zabudowę centrum Krakowa i wiele innych. Niektóre z tych projektów są już zrealizowane. Ale jak to się dzieje, że podejmował się pan — i to w ostatecznym wyniku z powodzeniem, bo wymienione prace były nagradzane — tak różnych projektów?

— Przede wszystkim wielkość tych prac wykonywałem z zespołem, w skład którego wchodzą różni specjaliści. A poza tym, myli się ten, kto myśli, że z ukończeniem studiów kończy się nauka. Wiedza bez przerwy się rozwija i dlatego trzeba stale pracować nad sobą. A przed przystąpieniem do każdego nowego projektu i w trakcie jego wykonywania — jak już wspomniałem — czytam literaturę fachową związaną z tematem pracy.

— A więc, mimo że pan uczy studentów, równocześnie i sam się pan uczy nadal?

— Oczywiście!

Rozmawiał: JERZY B. KLIMA

ZNISZCZENIE I ODBUDOWA

W czasie wojny uległo w Polsce zniszczeniu 235 000 budynków w mieście i 467 000 zagród wiejskich.

Jedynie w roku 1966 oddano do użytku 128.156 budynków; w tym izb mieszkalnych 159.970 (48.736 — w mieście i 111.234 — na wsi). Tegoż roku zrekonstruowano: 681 szkoły ogólnokształcące i zawodowe, 19 budynków dla szkół wyższych i 55 przedszkoli.

Kuter nr 47

6

MASA RYB stale się zmniejszała i wreszcie zaczęli sobie przeszkadzać nawzajem. W czterech było im ciasno. Pierwszy odszedł Wowa. Potem odszedł wujek Kostia.

— Pójdziemy, wypijemy sobie herbatkę — powiedział do Elegancika. — Chłopak da sobie radę i bez nas.

W tonie głosu wujka Kostii tkwiła jakaś chytrość. Alosza nasrożył się i już gotował się do odpowiedzi, ale wujek Kostia nic więcej nie powiedział i odszedł razem z Elegancikiem. Alosza zrozumiał, że dali mu okazję odpracować swoje, bez zbytnich słów i wymówek. To mu się podobało. Chciałby też, aby przyszedł kapitan i zobaczył, jak on sam sortuje. Ale kapitan był zajęty kapitańskimi obowiązkami i Alosza twardo wziął się do dzieła.

Ledwie Alosza zdążył się uporać z rybą, rozległ się sygnał do wyciągania sieci. Wyszedł Wowa w płaszczu z kapturem. Kołowrót warcząc pociągnął sznury. Kuter z lekka opadł na rufę. Kołysanie nasiliło się. Pojawił się kapitan.

— Ciężko idzie — powiedział zwracając się do Wowy.

— Nietęgo — zgodził się Wowa.

Kapitan doszedł do miejsca, gdzie zwykle leżą sieci, postał, popatrzył na spienioną przez śrubę silnika wodę, na mocno naciągnięte sznury.

— Kwartalny plan ciągniemy — wesoło powiedział Elegancik.

— Cholera go wie — z powątpiewaniem powiedział kapitan.

Daleko za rufą wychodziły z wody deski wzmacniające skrzydła sieci. Powoli, bardzo powoli zbliżały się do rufy.

— No jak? — spytał znów kapitan, patrząc na Wowę.

— Ciężko — powtórzył Wowa. — Ledwo ciągniemy. Żeby tylko sznury nie puściły.

— Wszyscy z rufy! — wydał komendę kapitan.

Deski od sieci wyszły na rufę. Wołodia z niepokojem patrzył na kapitana. Jeśliby pękł teraz choć jeden sznur, to koniec jego chlasnąłby po stojących na rufie. Stalowa lina w takich wypadkach może przerąbać człowieka na połowę. Tutaj sznur jest lniany, nie przerąbie, ale zabije.

— Mała wstecz! — wydał rozkaz kapitan.

— Mała wstecz! — powtórzył Wowa, kierując się do luku maszynowni.

— Jest mała wstecz! — dało się słyszeć z dołu.

Kuter zawracał. Osłabło naprężenie sieci. Elegancik i wujo Kostia byli już na rufie. Razem z kapitanem przeciągnęli sieć z rufy na burtę. Teraz przy burcie stał kapitan i Wowa. Doradzał Wowa, ale komendę wydawał kapitan.

— Razem!

Mokre płachty sieci podciągnięte hakami zawisły nad pokładem.

— Jeszcze raz!

Płachty klasnęły o pokład. Wowa i kapitan wczepili się w sieć. Wstrzymywali ją przez chwilę potrzebną na to, żeby wujek Kostia podał hakiem następną część.

— Razem!

Znowu sieć wyszła do góry. Nagle kapitan odskoczył od burty i zakomenderował.

— Stop!

Rozstrzępiony koniec stalowej liny, zaplątany w sieciach, mało co nie uderzył go w twarz.

Na pokładzie zrobiło się cicho. Wszyscy patrzyli na linę, zwykłą stalową linę. Alosza nie rozumiał, dlaczego wszyscy patrzyli na nią jak na jakie cudo.

— Może, ułamek?... — niepewnie powiedział Wowa.

Kapitan przewiesił się przez burtę, popatrzył, pokręcił głową.

— Niestety, nie.

— Za bardzo ciąży sieć — westchnął wujek Kostia. — Tam ona siedzi, w końcu.

— Kto siedzi? — spytał Elegancik.

— Mina — powiedział wujek Kostia.

— Mina? — zdziwił się Elegancik. — Gdzie siedzi?

Na to głupie pytanie nikt nie odpowiedział, wszyscy patrzyli na kapitana.

Gdzieś między dnem zatoki a kilem kutra znajdowała się teraz bezsensowna śmierć. Przeleżała tam całe lata w oczekiwaniu na duże statki, a doczekała się słabego bezsilnego kutra i załogi złożonej z sześciu i pół człowieka.

Wszyscy patrzyli na kapitana. Patrzył i Alosza. „On jest wesoły, a więc zginąć nie może. Więc i my nie zginiemy — wierciła się myśl w głowie Aloszy. — On nie może zginąć. To znaczy, że i ja nie zginę... I razem z nim ocalejemy. Coś zadziała, przecież to kapitan. Powinien coś zrobić!"

— A więc tak — powiedział kapitan — siedzimy na bańce. Dwanaście metrów głębokości. Sieci uciąć nie można. I tak rozerwie się na dnie. Będziemy ciągnąć.

Alosza patrzył, jak powoli wynurza się sieć. Teraz przypomniało mu się, jak trzy lata temu siedział na lekcji w klasie. Nagle coś go ogłuszyło, zadrżały szyby. Od zalewu huknęło. Alosza razem z kolegami podbiegli do okna, ale niczego nie spostrzegli. Nic też nie mogły powiedzieć załogi kutrów, które pojechały na miejsce wybuchu. Niczego nie mogli wyjaśnić uratowani marynarze z kutra. Nie wiedzieli, czy mina wybuchła pod kilem, czy może zaczepili ją siecią.

„O, to tak bywa — smutno pomyślał Alosza. — Tak bywa..."

— Stop! — rozkazał kapitan.

Prawie cała sieć, zmięta, splątana była już na pokładzie, jedynie koniec wisiał za burtą. Jak żmija wystawała z niego lina, odchodząca od miny. Kutrem kiwało i koniec sieci z liną raz zbliżał się do burty, raz oddalał.

— Jest pod kilem — powiedział kapitan do Wowy. — Do burty jeszcze nie doszła. A jak jest daleko, nie wiadomo.

Kapitan i Wowa przechylili się przez burtę, ale trudno było coś zobaczyć.

— Ech, szypr! — krzyknął nagle Elegancik cienkim głosem. — Przecież to można sprawdzić!

Elegancik ściągnął kurtkę i buty, rzucił na pokład sweter i skoczył za burtę. Podpłynął do sieci, przytrzymał się jej, nabrał powietrza i dał nurka.

„Co on robi?! — z lękiem pomyślał Alosza. — Potrąci tam minę i wszyscy wylecimy w powietrze".

Elegancik wypłynął na powierzchnię i szeroko rozłożył ręce.

— Do kila — o tyle! — zawołał.

— Tak jest, Boria — powiedział kapitan.

„Boria — pomyślał Alosza. — Teraz będę go nazywać Boria..."

Wowa i wujek Kostia wyciągnęli Borię na pokład. Kapitan zwrócił się do Wołodii, stojącego jak przedtem przy kołowrocie.

— Wołodia, jeden metr, nie więcej. W górę!... Stop!

Cdn.

JURIJ TOMIN

Opr. B. TYLICKA

JEŹDŹCY i KONIE

(3)

BOHDAN TOMASZEWSKI

W treningu konnym wielce pomogło mu uprawianie sportu. Jako sztubak grał w kosza, biegał i skakał, poznał podstawy judo. A potem, kiedy przystąpił do gry w filmie „Bokser", dostał się w ręce Feliksa Stamma i szalenie forsownie trenował, musiał stoczyć kilkadziesiąt rund, by potem reżyser wybrał najlepsze fragmenty, które złożyły się na stosunkowo krótką finałową sekwencję tego obrazu. Oczywiście stanowiła ją rozstrzygająca walka o losy bohatera — jakże może być inaczej w sportowym filmie?!

Kiedy słuchałem młodego aktora, opowiadającego o kręceniu „Popiołów", o szarżach i inscenizowanych bitwach, o swoich mistrzach jazdy — już wtedy nabrałem pewności, że młodzieniec ten nie będzie nigdy zsiadał z konia, a piękna pasja do tego sportu zamieni się w trwałą miłość. Poza sławą, czy popularnością, z racji jednego filmu otrzymał więc od losu dużo trwalszy podarunek.

Rzuciłem sporo nazwisk dawnych zawodników, których sława związana jest z przeszłością. Obecnie wśród najlepszych polskich jeźdźców wyróżniali się w poprzednich latach przede wszystkim Byszewski — wielokrotny mistrz Polski, i Babirecki, który w 1965 r. osiągnął najwyższy sukces dla polskiej hippiki na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza, zdobywając mistrzostwo Europy na torze moskiewskim w tzw. Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego. Ale potem wysunął się na czoło nieco młodszy od nich Kowalczyk, którego dobrze zapamiętałem z jednego konkursu w Olsztynie. Odbywa się tam co roku międzynarodowa impreza. Raz startowali między innymi znakomici Włosi, a jeden z nich, wyborny jeździec, przejechał cały parcours nie tylko nie zrzucając ani jednej przeszkody, ale w iście zawrotnym tempie, gdyż uzyskał czas lepszy od wszystkich rywali aż o 20 sekund!

— Na Włocha nie ma już siły — mówiono na trybunach.

Lecz nigdy podobno nie trzeba tracić nadziei. Tak właśnie pomyślał Kowalczyk i w jednym z ostatnich przejazdów popędził na swojej „Drobnicy" w jeszcze szybszym tempie niż Włoch. „Skakał na ukos", czyli brał przeszkody właśnie w ten sposób, aby nie tracić czasu na atakowanie od czoła. Byle tylko szybciej! Parcours był także czysty jak Włocha, ale szybszy, i to aż o 11 sekund!

Kowalski wygrał już niejeden konkurs, raz — jak mi mówiono — zwyciężył za granicą nawet legendarnego Włocha Raymondo d'Inzeo, którego widziałem w najtrudniejszej próbie: na Igrzyskach Olimpijskich w Rzymie. Fenomenalny jeździec.

Pierwszy wielki sezon na dobrą sprawę przypadł dla Kowalczyka na rok 1967. Przede wszystkim warto wspomnieć o jego występie na Mistrzostwach Europy w Rotterdamie, gdzie zgromadziła się cała elita jeźdźców, nie tylko z naszego kontynentu, ale również z kilku krajów zamorskich. Po raz pierwszy nasza ekipa startowała na tak wielkiej imprezie, dla Kowalczyka był to więc odpowiedzialny i trudny debiut, ale wystartował z wielkim animuszem. Świetnie pojechał w pierwszym dniu zawodów i objął prowadzenie! W drugim dniu udał mu się start w konkursie i prymatu nie stracił.

Sensacja! Mało doświadczony i stosunkowo jeszcze mało znany polski jeździec prowadził w klasyfikacji! Przypuszczono więc na niego atak. Najznakomitsi jeźdźcy, dosiadający najlepsze wierzchowce, skoncentrowali się następnego dnia walki i rzucili na szalę całe swe doświadczenie i umiejętności.

Ostatecznie Kowalczyk zajął doskonałe 5 miejsce, ale i tak wyprzedził wiele sław, a wśród nich legendarnego Francuza D'Oriola, o którym mówi się, że jest najlepszym jeźdźcem wszystkich czasów. Francuz upłasował się wtedy na 9 miejscu. Inna sprawa, że w parę miesięcy później zwyciężył na ostatnim przedolimpijskim meetingu w Meksyku, udowadniając raz jeszcze, że „czas się go nie ima" i nadal będzie chyba najpoważniejszym faworytem do zdobycia złotego medalu na Olimpiadzie.

Kowalczyk tym startem i wieloma innymi, choćby na słynnym hipodromie w Akwizgranie, jednak udowodnił, że należy do ścisłej czołówki najlepszych jeźdźców świata. Karierę rozpoczął wcześnie. Zaczął jeździć w rodzinnym Drogomyślu na Śląsku. Potem kolejno przechodził przez znane krajowe ośrodki hippiczne najpierw w Sierakowie, a potem w Poznaniu, by wreszcie znaleźć się w warszawskiej Legii. Ma 25 lat. Do tej pory trzykrotnie zdobywał mistrzostwo Polski w skokach, lecz jeszcze jako junior w końcu lat pięćdziesiątych zdołał zdobyć tytuł mistrza Polski seniorów w bardzo trudnej konkurencji, jaką jest Wszechstronny Konkurs Konia Wierzchowego.

Już raczej pod koniec sezonu 1967 roku, na mistrzostwach krajowych w Radomiu, Kowalczyk pokazał się sympatykom jeździectwa jakby z nowej strony... O tym, że świetnie jeździ konno — każdy już wiedział. Tym razem rzecz dotyczyła zrozumienia zasad sportu. Otóż pod koniec zawodów jasne już było, że ma pierwsze miejsce zapewnione ze względu na zbyt dużą przewagę, jaką wywalczył w poprzednich konkursach.

I oto ostatnia próba sił. Na drugie miejsce ma jeszcze „szanse" pewien jego kolega klubowy... Jeśli Kowalczyk przegra parcours, a ów kolega wygra, wówczas może wywindować się właśnie na drugie miejsce.

I oto Kowalczyk rusza na przeszkody.

Wielu myślało, że pojedzie rozmyślnie trochę wolniej i poprowadzi wierzchowca nie tak dokładnie przez przeszkody. Powtarzam raz jeszcze: Kowalczyk miał tytuł już zdobyty. Ale wbrew oczekiwaniom odrzucił na bok jakiekolwiek kalkulacje klubowe, nie chciał rozmyślnie przegrać, by ułatwić awans koledze. Pojechał „na pełny gaz", a przy tym rozważnie i jak zwykle skutecznie. I tak wygrał jeszcze jeden konkurs pieczętując swój bezapelacyjny triumf, ale... kolega klubowy nie zajął drugiego miejsca.

Jeśli ktoś pomyśli w tej chwili, że było to niekoleżeńskie — myli się srodze. Jakaż to pomoc, jeśli przegrywa się umyślnie?! Jakby się czuł ów kolega — jako zdobywca drugiego miejsca tylko wskutek... rozmyślnie słabszej jazdy innego zawodnika? Taki postępek wykraczałby poza surowe, a piękne reguły sportu.

Jedna z tych reguł jest prawo równych szans i obowiązek rzucenia do walki całej ambicji i wszystkich umiejętności.

Kowalczykowi niektórzy zarzucają, że „jeździ bez łydki" — to jest takie określenie swoistości stylu. Ale jeździ ładnie, a przede wszystkim skutecznie. Konie „mu skaczą", posiada bowiem instynktowne wyczucie odległości od przeszkody. Oblicza błyskawicznie, ile „fuli" dzieli go od momentu odbicia. Pod tym względem — według opinii znawców — przypomina trochę Roi de seule — Króla Siodła — jak nazywali Francuzi Karola Rómmla, weterana polskiego jeździectwa, którego dzisiaj młodzi ludzie mogli podziwać już tylko jako zadzierzystego księdza-jeźdźca w filmie „Lotna" Andrzeja Wajdy.

Tu nie mogę powstrzymać się od podania pewnej anegdoty. Otóż znakomity jeździec, weteran Rómmel, miał przyjaciela i antagonistę w jednej osobie, w nieżyjącym już majorze Konie — najsłynniejszym, wieloletnim trenerze polskiej kadry. To też była wielka postać! Mjr Kon, kiedy chciał dokuczyć koledze, powiadał zawsze: — Jaki on kawalerzysta? Nowicjusz! Przecież wślizgnął się do kawalerii dopiero na krótko przed... I wojna światowa.

Tak, ci ludzie tworzą świat zamkniętej tradycji. Pewien wpływ ma chyba i to, że ich bożyszcze — to koń, w jakimś sensie przecież relikt przeszłości.

Nie będę podkreślał rzeczy powszechnie znanych, jak zwierzę to lubiane jest w naszym kraju. Są ludzie, którzy nigdy na koniu nie siedzieli, a konie lubią, nie wiedzieć czemu, szanują. Jeźdźców także. Nie tylko wspomnienia szaleńczych szarż i dawnych epopei związanych z koniem, ułanka, szabla i lanca.

C. d. n.

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 27-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa, ul. Wronia 23 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 1689 T-40

Adres redakcji: WARSZAWA ul. Miskowska 24

KAR...NAWAŁOWY BAL KOSTIUMOWY

OD STROJU W JASKINI DO SPÓDNICZKI MINI

(parparada-czyli parada par)

Napisali: Wanda Chotomska i Wacław Bisko

CIĄG DALSZY Z POPRZEDNIEGO NUMERU

W BLASKACH I CIENIACH ODRODZENIA

(Po kilku tańcach na ESTRADKĘ wchodzi TYTUS i woła przez tubę)

TYTUS *(do orkiestry, bijąc brawa):*

Brawo, orkiestra! Molto grazie! *(czyt. gracje)*

(do publiczności)

Zanim orkiestra zje kolację, my pośród ciszy i skupienia wejdźmy w epokę Odrodzenia. Warto zobaczyć, jak wygląda mistrz Leonardo i Gioconda! *(czyt. Dżiokonda).*

(NA ESTRADKĘ wchodzi LEONARDO da VINCI — chłopiec w dresuch, dużym berecie i pelerynie. W lewym ręku ma paletę i pędzel, a pod prawą pachą niesie sztalugi i blejtram. Ustawia sztalugi „tyłem" do publiczności, na nich stawia blejtram i, wychylając się czasem spoza obrazu, śpiewa swoją kwestię. Jednocześnie wchodzi na ESTRADKĘ DZIEWCZYNA — GIOCONDA, ucharakteryzowana wg słynnego portretu Mony Lizy. Niesie ze sobą stołek, siada na nim i pozuje do portretu)

LEONARDO *(malując śpiewa na melodię piosenki „Malowana lala" z repertuaru Karin Stanek):*

Powiedziałem właśnie Giocondzie:
niech Gioconda sobie usiądzie.
Ja farbami bardzo skutecznie
Giocondę na płótnie uwiecznię!
Malujemy Lizę!
Malujemy Lizę!
Malujemy Lizę!
dwadzieścia pięć lat!
Ja nie jestem Syzyf,
bo portrecik Lizy
za ciężkie dewizy
pójdzie w świat!

GIOCONDA *(śpiewa na tę samą melodię):*

Mistrzu Leonardo da Vinci, *(czyt. da Winczi)*
ja coś poufnego powiem ci...
Zdrętwiała mi ręka i noga,
nie mogę usiedzieć, laboga!

LEONARDO *(malując śpiewa refren):*

Malujemy Lizę... itd.

GIOCONDA *(mówi nieśmiało do LEONARDA):*

Mistrzu Leonardo...

LEONARDO: *(surowo):*

Siedź prosto i nie garb się!

GIOCONDA: Czy ja będę sławna?

LEONARDO: Będziesz sławna i będziesz wisiała w Luwrze! Uśmiechaj się!

GIOCONDA: *(do publiczności):*

Wisieć na ścianie i się uśmiechać!
To obraźliwe! Ja to mam pecha!

(śpiewa na melodię „Malowana lala")

Malowaną Lizą nie chcę być,
malowanym życiem nie chcę żyć,
więc zabieram swoje tłumoki
i do innej idę epoki!

(odchodzi śpiewając)

Tra la la la la la la itd.

LEONARDO *(wygrażając GIOCONDZIE pędzlem woła):*

Chociaż pędzel mi wyłysiał,
portret będzie w Luwrze wisiał!

(NA ESTRADKĘ wchodzi TYTUS i mówi łagodnie do LEONARDA):

Mistrzu, zostaw te sztalugi, zatańcz z nami bugi-wugi!

(LEONARDO schodzi do widowni, a TYTUS woła przez tubę)

TYTUS: Bugi-wugi malownicze! Zdrowia, szczęścia państwu życzę! Kto ma tylko talent w nodze, ten pędzluje po podłodze! Orkiestra — please! *(czyt. plis!)*

(Zabawa toczy się dalej)

CZŁOWIEKU Z DWUDZIESTEGO WIEKU...

(Po kilku tańcach na ESTRADKĘ wchodzi TYTUS, prowadząc pod rękę DZIEWCZYNĘ modnie uczesaną, w spódniczce „mini", i woła przez tubę):

Sądzę, że państwu nie przeszkodzę... Ta przerwa dobrze wam uczyni. W dwudziesty wiek z dziewczyną wchodzę, a ona jest w spódniczce „mini"!

(NA ESTRADKĘ wchodzi chłopiec w stroju KOSMONAUTY)

DZIEWCZYNA *(wskazując na KOSMONAUTĘ, mówi do publiczności):* A oto postać wyjątkowa... KOSMONAUTA:

Przybywam tutaj wprost z rakiety!

DZIEWCZYNA *(do TYTUSA):*

Spróbujmy więc zaorbitować...

TYTUS *(do DZIEWCZYNY):*

Jak orbitować — no to z mety!

DZIEWCZYNA *(śpiewa na melodię piosenki „Walentyna" z repertuaru „Filipinek):*

Od życia w jaskini
do spódniczki „mini"
minął czasu szmat...
Z różnych epok chłopcy
byli dla mnie obcy —

(wskazuje na KOSMONAUTĘ)

Ten mi z nieba spadł!

DZIEWCZYNA i TYTUS *(śpiewają refren):*

Z kosmonautą, z kosmonautą
księżyce z nieba można by kraść!
Z kosmonautą, z kosmonautą
w gości do Marsjan można wpaść!

(DZIEWCZYNA śpiewa dalej, tańcząc twista przed KOSMONAUTĄ, który naśladuje jej ruchy)

Chyba warto, chyba warto
o kosmonaucie po nocach śnić!

(włącza się TYTUS)

Z kosmonautą, z kosmonautą
w życiu jak w bajce może być!

(Tańcząca twista para schodzi na salę, a TYTUS woła przez tubę)

TYTUS:

Para na salę zeszła z estrady i nas zaprasza do parparady! Ja z zaproszenia także skorzystam i ze swą... tubą zatańczę twista!

Uwaga, uwaga, na mój gwizd rozpocznie się kosmiczny twist! Nie zawraca nikt gitary, orbitują wszystkie pary! Cała sala śpiewa z nami! Orkiestra please! *(czyt. plis!)*

(TYTUS gwiżdże). Cała sala tańczy ze śpiewem „Walentyna-twist" i... zabawa toczy się dalej)

Ostatnia para w tej par paradzie oburącz swoje podpisy kładzie i przy nazwisku tańczy nazwisko: WANDA CHOTOMSKA i WACŁAW BISKO

Rys. M. Teodorczyk